

Konrad Staszewski

Opowieści z Przeklętej Doliny:

ŹCIĘTA MOWA



KONRAD STASZEWSKI

**OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY:
UCIĘTA MOWA**

**MOJEJ ŻONIE
EDYCIE MACULEWICZ - STASZEWSKIEJ
I DZIECIOM:
DOMINICE BRYGIDZIE
I GABRIELOWI BRAJANOWI**

© Copyright by Konrad Staszewski & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Klara Piotrowska

Grafiki wewnątrz książki: Bogusz Jaśniak

ISBN 978-83-61184-70-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II zmienione i poprawione 2010

www.e-bookowo.pl

[Kup książkę](#)

Rozdział III



Furman nawet nie zdążył zatrzymać koni, gdy pierwszy mężczyzna wyskoczył na chodnik. Jego, do niedawna jeszcze lśniące, czarne buty, rozchlapały kałużę. Jegomość ubrany w długi, czarny płaszcz zaklął pod nosem i krzyknął do swoich towarzyszy, aby się pośpieszyli.

– A zapłata? – zapytał bezceremonialnie furman.

Mężczyzna, który pierwszy wyskoczył na chodnik, odwrócił się do niego myśląc, że to pytanie było skierowane tylko do niego i odparł zaczepnie:

– Za chwilę wracamy. Chyba, że nie chce pan na nas czekać. A może ma pan coś na sumieniu i woli nie stać przed gmachem tej instytucji?

Przy tych słowach mężczyzna w płaszczu spojrzał wymownie na swego rozmówcę. Ten spojrzał tylko na drzwi wejściowe do budynku i nic się już nie odezwał. Nasunął tylko kaptur na głowę, jakby dla niepoznaki.

Mężczyzna w czerni uśmiechnął się pod wąsem i ruszył w stronę wejścia. W międzyczasie z furmanki wysiedli pozostali. Wszyscy wyglądali tak samo, tak samo byli ubrani – jakby należeli do jakiegoś stowarzyszenia. Ale furman wolał nie wiedzieć za dużo. Odetchnął z ulgą, gdy odeszli.

Przyprawiali go o gęsią skórkę, chociaż sam nie wiedział, z jakiego powodu.

– A jeśli go już nie będzie? – Mężczyzna nie był tak pewny siebie jak ten, który rozmawiał z furmanem, a teraz prowadził ich ciemnym korytarzem. Był młodszy, ale bardzo przypominał go nie tylko z wyglądu. Miał podobne, tylko nieco łagodniejsze rysy twarzy i tak samo zimne i przenikliwe oczy.

– A tak go znajdziemy, synu.

– Panowie do kogo? – zagadnął ich strażnik pilnujący parteru. Mężczyźni spojrzeli na siebie równocześnie, po czym przenieśli wzrok na uniform młodego obrońcy prawa. Strażnik poczuł się bardzo nieswojo. Cofnął się o kilka kroków i znalazł się w pomieszczeniu, które służyło za recepcję, a z zewnątrz wyglądało jak dobrze zaopatrzony sklep z bronią. Sięgnął pod ladę jakby szukał pistoletu. W rzeczywistości jednak starał się wymacać dłonią dzwonek alarmowy.

– Nie chcieliśmy pana przestraszyć tym najściem. Szukamy detektywa Mothmana. Wie o naszych odwiedzinach – gładko skłamał młodszy z mężczyzn. Gdy wypowiadał te słowa nawet powieka mu nie drgnęła. Sięgnął do kieszeni i wolno, ale zdecydowanie zbliżył się do "budki" strażniczej. Guardianowi, widocznie mało jeszcze doświadczonemu w pracy, kropelki potu wystąpiły na czoło i zaczęły trząść się ręce. Ubrany w płaszcz mężczyzna położył mu na biurku jakąś małą karteczkę. Strażnik spojrzał na nią i odetchnął nieco spokojniej. Mógł się domyśleć, że to prawnicy: świdrujące, zimne oczy i energiczny, zdecydowany chód, zimne rysy twarzy. Obrazu dopełniał ich ubiór – buty z najlepszej skóry, bawełniane długie płaszcze, teraz rozpięte, i śnieżnobiałe koszule musiały kosztować

majątek. Jeden z nich miał jakąś teczkę, pewnie z dokumentami. Guardian uspokoił się nieco, przypomniał sobie plotki o Panie J.M., jak mówiono o detektywie Mothmanie, krążące wśród pracowników całej Guardian Street. Może nie powinien się dziwić jego gościom.

– To taka mała klitka na...

– Znajdziemy – przerwał mu "mężczyzna od wizytówki" i odwrócił się w stronę swoich towarzyszy. Wszyscy w milczeniu ruszyli ku schodom prowadzącym na górę.

– „Smith ‘n’ Smiths Lawyer Co.”. Mogą mi się jeszcze kiedyś przydać – pomyślał strażnik chowając wizytówkę do kieszeni spodni i spojrzął na zegarek stojący na biurku. Otworzył zeszyt i zanotował skrupulatnie godzinę odwiedzin prawników.

Przeszli kilka korytarzy nim dotarli do gabinetu detektywa. Mijani pracownicy nie zwracali na nich większej uwagi, widocznie mieli pełne zaufanie do strażnika na parterze, albo byli tak zadufani w sobie, że myśleli, że nikt nie ośmieli się zaatakować siedziby stróżów prawa.

Przybysze stanęli przed drzwiami detektywa i spojrzeli po sobie zaskoczeni.

„A jednak się spóźniliśmy” – pomyślał Gvidon, patrząc na kawałek kartki przyczepiony tuż pod metalową plakietką z inicjałami detektywa.

– Kazał posprzątać gabinet? Może ktoś nas uprzedził, ale nie sądzę, żeby znalazł rękopis albo zdjęcie, ojciec. Może wejdziemy i sami poszukamy? – zapytał młodszy z mężczyzn. Pozostali spojrzeli wyczekująco na Gvidona.

– Nie mamy na to czasu Samuelu. Musimy go znaleźć, zanim wyjedzie do Doliny. Mam dziwne przeczucie, że ktoś mu pomaga.

Zbiegli po schodach na parter i, nie zatrzymując się nawet przy strażniku, wybiegli z budynku. Furman czekał tam, gdzie go zostawili.

– Ruszaj! – rzucił ostro Gvidon wskakując do furmanki jako ostatni.

– Jedziemy do jego posiadłości? – Stukot kopyt prawie zagłuszył pytanie.

– Nie. Złapiemy go na nabrzeżu.

Woźnica zrozumiał, że ma się kierować do portu.

Pierwszą myślą, jaka teraz krążyła mu po głowie, było jak najszybciej spakować bagaże i odnaleźć Cagliostro. Nic nie zwróciło jego uwagi – ani uchylona furtka na podwórzu, ani ślady błota zostawione na klatce i schodach. Myślał tylko o tym, co powinien spakować.

Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie i stanął zaskoczony przed swoim gabinetem, nie mogąc złapać oddechu ani wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Jego wzrok wędrował z jednej zapakowanej i zamkniętej szczelnie skórzanej walizki, na której widniały wyszyte inicjały J.M. na drugą z inicjałami N.M. Pomiędzy nimi stała para wypolerowanych

butów. Ich właściciel, wsparty o grawerowaną laskę ze złotą rączką, uśmiechał się najwyraźniej zadowolony i dumny z siebie.

Detektyw zebrał w sobie resztkę siły i rzucił się na niego rękami chwytając za kołnierz. Stracili równowagę i wpadli do gabinetu. John przygniótł przeciwnika do ściany i uniósł do góry. Tamten poczerwieniał na twarzy, ale nie zmienił wyrazu oczu i nie wypuścił laski z ręki. Żaden wyraz skrzywienia, bólu, złości ani zaskoczenia nie przebiegł przez jego oblicze.

– Gdzie jest moja siostra?! – wysapał detektyw. W jego oczach tliły się iskierki szaleństwa. – Mów, łajdaku!

– W Przekłętej Dolinie – wykrztusił z siebie Cagliostro.

– Zabiję cię!

– Jeśli ci się uda. – Na wargach hrabiego pojawił się ironiczny uśmiech. – Ale wątpię, czy ją wtedy odnajdziesz.

Detektyw puścił Cagliostra. Nie chciał popełnić morderstwa, poza tym tylko hrabia wiedział, gdzie jest Nikki.

Gość poprawił płaszcz. John nie wiedział, co ma robić, złapał się za głowę.

– Pomyślałem, że lepiej będzie jak wyjedziemy jeszcze dzisiaj. Spakowałem nasze bagaże.

Słowa hrabiego nieco otrzeźwiły Johna.

– Ale tu jest tylko walizka Nikki i moja a...?

– Moja jest w przechowalni na dworcu. Pociąg mamy za godzinę.

– Ale nie mogę tak zostawić... – wahał się jeszcze detektyw.

– Tu chodzi o życie Nikki.

John w odpowiedzi chwycił walizki i zbiegł po schodach. Hrabia podążył za nim. Zostawili domostwo na pastwę losu. Detektyw zamknął tylko drzwi i furtkę. Gdy znaleźli się na ulicy, krzykiem wezwali powóz. Wrzucili bagaże na sam tył i wsiedli do środka.

– Zawieź nas na dworzec! Co koń wyskoczy! – krzyknął John siadając wygodniej. Gdy zamykał drzwiczki usłyszał świst bata i rzenie pary koni. Z miejsca ruszyli galopem.

– Pogoda nam sprzyja – rzekł niby od niechcienia Cagliostro. John wyjrzał przez okienko – nawet nie wiedział, kiedy słońce zatrzymało się w zenicie.

Ulica w połowie była jeszcze zamrznięta, a w połowie już zablocona.

John nie odezwał się ani słowem. Postanowił milczeć całą drogę i przeanalizować zaistniałą sytuację. Nie wyglądała ona zbyt ciekawie: najpierw zaginięcie matki, potem tajemnicze przesyłki, zniknięcie Nikki, a teraz wyjazd z nieznanym i podejrzanym. Ale John miał dużo czasu na refleksje, ponieważ stacja Jednego Szlaku znajdowała się na drugim końcu miasteczka.

Ukradkiem tylko zerkał na wyniosłego towarzysza podróży.

„Kim ty naprawdę jesteś?” – zastanawiał się. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, ale wiedział, że najbliższe dni, a nawet godziny, mogą przynieść mu wiele niezbyt przyjemnych niespodzianek. Nie wiedział czy hrabia zdaje sobie sprawę, że jest bacznie obserwowany.

Zdawało mu się, że Cagliostro specjalnie nie patrzy w jego stronę. Jakby ostentacyjnie zamknął oczy i udawał, że śpi.

Hrabia obudził się w momencie, gdy wjechali na brukowaną uliczkę prowadzącą na stację. Spojrzał na detektywa i uśmiechnął się, jak gdyby cieszył się z jego widoku.

– Chyba dojeżdżamy. – Mothman próbował odgonić od siebie złe myśli. W tej samej chwili woźnica zatrzymał konie.

– Jesteśmy na miejscu. – Detektyw rozpoznał głos młodego lekarza. – „Dziwny zbieg okoliczności” – pomyślał.

Wysiadł z powozu, a za nim lekko wyskoczył hrabia. Oparł się o swoją laskę i przyglądał się w milczeniu, jak woźnica zdejmuje ich walizki i kładzie je na chodniku.

– Proszę zanieść je na peron – powiedział sucho hrabia.

– Myślę, że wystarczająco nam pan już pomógł – odparł detektyw. Swoje słowa skierował do lekarza, ale wzroku nie spuszczał z Cagliostro. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak kot polujący na mysz. W międzyczasie młody mężczyzna podniósł walizki i skierował się na peron.

Cagliostro i detektyw patrzyli na siebie w milczeniu. Mothman odwrócił się od hrabiego i także poszedł na dworzec. Odchodząc krzyknął przez ramię:

– Albo zdążysz albo jadę sam!

– I tak sam nie pojedziesz!

„Zobaczymy” – pomyślał.

* * *

– Przekłęta Dolina? – Marynarz był wyraźnie zdumiony. Patrzył na kilku mężczyzn stojących koło niego. Nie wiedział czy ich pytanie powinien traktować jako żart, czy pytali poważnie. Inni marynarze, siedzący nieopodal i pijący piwo z kufli, usłyszawszy ich rozmowę nie mieli najmniejszych wątpliwości i śmiali się do rozpuku.

Jeden z nich, mimo tego, że ledwo mógł utrzymać się na nogach, podszedł i oparł się o Samuela. Otoczył go ramieniem i chuchał mu prosto w twarz. Jego towarzysze śmiali się na całe gardła.

– Chcecie dopłynąć do Przekłętej Doliny? – zagadnął. – To bardzo daleka podróż. Widzisz przyjacielu, właśnie stamtąd wróciłem i do tej pory cierpię na chorobę morską.

Marynarz pozieleniał na twarzy i zrobił taką minę jakby miał zamiar wypluć swoje wnętrze wprost na Samuela. Ale jego twarz nagle zmieniła kolor z zielonej na trupio bladą i oczy rozszerzyły się ze strachu, gdy mężczyzna w czerni wyjął spod płaszcza rewolwer i przyłożył mu lufę do brzucha. Teraz nikt już nie odważył się uśmiechnąć. Przedstawienie przestało być zabawne.

Przyglądający się temu zdarzeniu marynarze, pomału, krok po kroku, zaczęli podkradać się do stojących przed nimi mężczyzn w czerni. Ale któryś z nich widocznie zauważył kącikiem oka jakiś ruch, bo odwrócił się w stronę skradających się i jednoznacznie sięgnął ręką pod płaszcz. Marynarze nie zauważyli, że w czasie rozgrywanego się widowiska przyjechały jeszcze dwa powozy i wysiedli z nich inni, ubrani także na czarno mężczyźni. Teraz już nie było ich czterech, ale tuzin. Marynarze byli całkowicie zdezorientowani: niektórzy złapali się za głowy mniemając, że oszaleli, kilku uciekło, a pozostali wrócili do swoich kuflów pozostawionych w kantynie.

– Do przekłętej Doliny nikt nie pływa dla przyjemności i mało kto stamtąd powraca. Każdy, kto ma tam wypłynąć najpierw spisuje testament. Poza tym to daleka podróż – powiedział poważnie stary marynarz. – Nikt z wami nie popłynie. A odpowiadając na wasze pytanie: z tego portu, nie tylko dzisiaj, ale w ciągu kilku ostatnich dni nie wypłynął ani jeden statek do Przekłętej Doliny, o którym bym nie wiedział. A wy się nie boicie? – zapytał.

– Nie – odpowiedział twardo Gvidon, ten sam, którego rodzice kiedyś, przypadkiem znaleźli się w Przekłętej Dolinie i pozostali w niej już na zawsze; ten sam, który się w niej urodził i wychował. – A jak możemy się do niej dostać? – zapytał, chociaż znał już odpowiedź.

– Balonem albo pociągiem.

Wsiadli do powozów nie odwracając się ani nie dziękując marynarzom. Gvidon dobrze wiedział, gdzie jest dworzec. Z Samuelem i kilkoma innymi pojechał na stację Jednego Szlaku, a pozostałe furmanki porożędzały się w przeciwnych kierunkach.

Młoda jasnowłosa dziewczyna wsiadła do wagonu. Pociąg był podstawiony – tak jakby czekał tylko na nią. Znalazła wolne miejsce koło jakiejś starszej kobiety, czytającej Wiejskie Wieści i usiadła, nie pytając jej o pozwolenie. Nie zwracała uwagi na ciekawskie spojrzenia innych pasażerów, ale zdawała sobie sprawę z tego, że nie codziennie widzi się kogoś jadącego do Przekłętej Doliny bez jakiegokolwiek bagażu.

Siedząca naprzeciwko niej kobieta, przypominająca mniszkę, nawet na nią nie spojrzała. Gazeta drżała jej w rękach, gdy przewracała kolejne strony. W pewnym momencie Nikki mignął przed oczami nagłówek: "Bestialskie zabójstwo młodej dziewczyny".

* * *

Wnieśli bagaże do pociągu w momencie, gdy już ruszał. John odwrócił się do lekarza, żeby mu podziękować, ale ten zdążył wyskoczyć w ostatniej chwili, gdy pociąg nabierał szybkości. Detektyw zobaczył go przelotem na stacji. Przeniósł bagaże do wolnego przedziału i usiadł przy oknie.

„A jednak nie zdążył!” – uśmiechnął się na samą myśl o Cagliostro. W wyobraźni widział go wybiegającego z bagażem z przechowalni i dobiegającego na stację w momencie, gdy pociąg już zniknął na zakręcie.

– Teraz pewnie stoi oparty o tę swoją laskę i wyciera pot z czoła.

Mothman zamknął oczy i spróbował się wyciszyć. Może nawet udałoby mu się zasnąć, gdyby nie usłyszał ogłuszającego niemalże dźwięku otwieranych drzwi. Do przedziału wszedł lekkim krokiem Cagliostro. Na jego twarzy nie było widać żadnego śladu zmęczenia. Z uśmiechem postawił swoją walizkę obok bagaży Johna.

– Zdążyłem – powiedział z taką beztrąską w głosie, jakby to było coś najzwyklejszego na świecie. Zdjął płaszcz i Mothman ze zdziwieniem stwierdził, że hrabia ma na sobie czyściutki, świeże ubranie, jakby odebrane prosto od krawca. John nie wiedział, kiedy jego towarzysz podróży zdążył się przebrać w krwistoczerwoną, szytą według najnowszej mody koszulę, ze złotymi zapinkami; spodnie tego samego koloru o rozszerzanych ku dołowi nogawkach, zakończonych falbanami i przykrywających wypolerowane trzewiki. Przy tym ubraniu nawet jego twarz wydawała się być jakby młodsza, a ostre rysy łagodniejsze. Tylko oczy nadal pozostawały tajemnicze i nieprzeniknione.

– Czeka nas ekscytująca podróż.

– Nie rozumiem – odparł, zaskoczony detektyw.

– Mamy okazję poznać miejsce, o którym krążą niesamowite opowieści.

– Z naszej wcześniejszej rozmowy zrozumiałem, że kiedyś już tam byłeś hrabio.

– A ja, że nasze kontakty przestały już być takie oficjalne, detektywie.

Mothman poczuł się jakby dostał w twarz, ale się nie odezwał. Cagliostro ze stoickim spokojem kontynuował:

– Nie przeczę, byłem tam nieraz, ale powiedzmy, że... – zamilkł jakby chciał odpowiednio dobrać słowa. – Moje podróże odbywały się na nieco innych zasadach.

– Czy w tym także pomagali twoi mocodawcy?

– Poniekąd, ale nie zagłębiajmy się w szczegóły. Musimy mieć do siebie trochę zaufania, a i tak obaj mamy jakieś tajemnice i póki co, niech tak zostanie. Wkrótce poznasz moich przyjaciół.

John, nie wiedząc czemu, jeszcze raz spojrzął głęboko w oczy swojemu rozmówcy – były inne i mimo woli go przyciągały, jakby chciały mu wyjawić jakąś tajemnicę skrywaną od wieków przed całym światem. Poczul się nagle bardzo znużony.

„Pewnie to ten monotony dźwięk jazdy” – pomyślał. Jego zmysły się przytępiły. Jakby za sprawą zamkniętych szczelnie drzwi, przestał cokolwiek słyszeć. Powieki same opadły mu na oczy. Zmuszając się jeszcze do karkołomnego wysiłku, na chwilę podniósł je i ujrzał, siedzącego naprzeciwko siebie i patrzącego wyrozumiale Cagliostro. Zdawało mu się, że ma swoiste deja vu, ale to wrażenie minęło tak szybko, jak się pojawiło.

Niespodziewanie przed jego oczy napłynęły obrazy, które do tej pory starał się wyrzucić z pamięci.

Znów stał przed lustrem i przyglądał się swemu odbiciu. Nieraz zastanawiał się, jak będzie wyglądał w przyszłości. W pokoju przylegającym do salonu przebierała się jego młodsza siostra. Wiedział, że w przyszłości będzie musiał się nią zajmować, ale ta przyszłość wydawała się jeszcze taka daleka. Była między nimi różnica kilku lat, ale patrząc w lustro nie widział już dziecka, tylko dorastającego młodzieńca i był z tego dumny. Młody i silny pragnął podbić cały świat, ale nie wiedział jeszcze, że już niedługo to świat złamie jego.

Wrócił do swojego pokoju i wyjrzał przez okno. Jego matka biegła bosą po ogrodzie i wchłaniała pierwsze zapachy wiosny. Ta kobieta była dumą całego rodu.

– John! – zawołała, dostrzegając go w oknie. Jej głos był dźwięczny jak śpiew słowika.
– Niech Nikki pomoże mi zebrać kwiaty do wazonu!

Taki obrządek odbywał się u nich w domu co roku. Gdy odszedł od okna ponownie usłyszał krzyk, ale nie był to już krzyk ich matki. Obudził się. Czuł, że drży z wrażenia.

„ To tylko zły sen” – tłumaczył sam sobie. Jakby w odpowiedzi usłyszał kolejny kobiecy wrzask. Dochodził z pociągu. Rozejrzał się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegł Cagliostro.

Nikki zupełnie nie wiedziała, co robić. Pierwszy raz znalazła się w takiej sytuacji. Spoglądała raz po raz, to na siedzącą naprzeciwko niej kobietę, a to na mężczyznę, który przed chwilą otworzył drzwi do przedziału i był nie mniej niż ona zaskoczony tym, co się tam działo. Patrzył na Nikki i widocznie zastanawiał się czy nie powinien sięść w innym wagonie, bo jedną nogą przekroczył próg, a drugą stał jeszcze za nim. Zdecydował się, gdy usłyszał kolejny, ogłuszający niemalże krzyk pasażerki. Nikki nadal nie odezwała się ani słowem, więc tylko uśmiechnął się do niej nieśmiało, ale wyrozumiale i wyszedł z przedziału. Nikki wołała się nawet nie zastanawiać, co sobie o nich mógł pomyśleć.

"Niby mniszka" przy drugim krzyku wyraźnie wskazała Nikki palcem i zaczęła się trząść jakby nagle dostała ataku padaczki. Gazeta wypadła jej z rąk, ale to już nie interesowało dziewczyny. Podeszła do kobiety i chciała ją uspokoić, ale z każdym krokiem Nikki, krzyczała coraz głośniejsze, jakby była opętana przez jakiegoś demona. W jej oczach malowało się paniczne przerażenie.

– Proszę się uspokoić. Pomogę pani. – Nikki ponownie zaproponowała nieznajomej. Ta na chwilę się uspokoiła i, jakby przyjmując pozycję obronną, mocniej przyłgnęła do siedzenia.

Dziewczyna nie wiedziała, co ma o tym myśleć.

„Najbezpieczniej chyba będzie się naprzeciwko tej kobiety” – pomyślała. Po chwili milczenia, która wprawiłaby w zakłopotanie każdego, rzekła najspokojniejszym głosem, na jaki w tej sytuacji mogła się tylko zdobyć: – Stało się pani coś? Może uda mi się jakoś pani pomóc? – Wyciągnęła ramiona w kierunku kobiety.

Ta, zapamiętała w swoim przerażeniu, zaczęła machać przed sobą rękami i krzyczeć:

– Ni..., Ni...

„Widocznie nie chce ode mnie pomocy” – pomyślała Nikki. – „Może nie jest stąd, bo nie mówi naszym językiem...”

Z zamyślenia wyrwało ją zachowanie towarzyszkę z przedziału.

Dziewczyna nic nie robiła, starała się zachowywać naturalnie, żeby nie denerwować, ani nie niepokoić "niby mniszki". Ta też w milczeniu przyglądała jej się chwilę bardzo badawczo. Zastanawiała się, co robić i analizowała zaistniałą sytuację. Wtedy nastąpiło coś, czego Nikki nie zapomni do końca życia. Kobieta niespodziewanie poderwała się z miejsca, podbiegła do okna i otworzyła je. Dziewczyna siedziała i nie wiedziała, co ma robić. Była jak sparaliżowana, a kobieta wydała z siebie jeszcze jeden krzyk, ostatni, mrozący krew w żyłach i nie oglądając się za siebie wyskoczyła z pędzącego pociągu. Nikki zdawało się, że ten krzyk zawierał w sobie jej imię, ale nie była tego pewna.

Tak jakby słyszała drugi, wydany równocześnie z pierwszym, ale dobiegający z innej strony. A może jej się tylko tak wydawało; może "Ni..." wyskakującej zostało tylko nienaturalnie wydłużone przez świst wiatru i szum pociągu. Nie wiedziała. Nie wiedziała również, co stało się z samobójczynią, ale nie chciała tego sprawdzać. Nadal nie była w stanie nawet się poruszyć, a co dopiero zbliżyć się do okna.

Spojrzała tylko na drzwi do przedziału – były nadal zamknięte, tak jak zostawił je wcześniej podróżny, który zdecydował się znaleźć inny przedział. Teraz zdawało jej się, że w szybie widzi swego wybawiciela. Kogoś, kogo tak bardzo pragnęła w tej chwili zobaczyć i móc się do niego przytulić, że już się czasem obawiała, że zaczyna mieć przywidzenia.

Wpatrywała się w szybę, jakby zobaczyła w niej ducha swej matki. Ale to nie była twarz Mary Mothman. I te oczy... nie Johna, ale tak miłe sercu.

– Hrabio – niemalże krzyknęła i wskazała ręką okno.

Cagliostro jednak zachowywał się, jakby jej w ogóle nie widział.

– Hrabio! – Tym razem krzyknęła.

Nadal żadnej reakcji z jego strony. Przemogła odrętwienie i podeszła do drzwi. Energicznie pociągnęła za klamkę, ale były zamknięte, chociaż nie dostrzegła w nich

żadnego zamka. Bezradnie spojrzała na Cagliotra. Niby patrzył na nią, ale Nikki miała wrażenie, jakby jego wzrok utkwiony był gdzieś w oddali.

Dziewczyna z determinacją pociągnęła za drzwi, ale ponieważ nie dawało to żadnego rezultatu, ze łzami w oczach usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach. Jak dziecko zacisnęła pięści i przetarła nimi oczy.

Gazeta, którą wcześniej upuściła jej dziwna towarzysząca podróży, leżała teraz w zasięgu ręki dziewczyny.

John nie czekał aż usłyszy po raz trzeci tajemniczy krzyk. Już wychodził z przedziału, gdy w szybie drzwi zobaczył jakieś odbicie. Był pewny, że odbiło się coś, co znajdowało się na zewnątrz pociągu. Zbliżył się do okna, otworzył je i wyrztał na zewnątrz pociągu. To, co zobaczył, nawet jego przyprawiło o mdłości – detektywa, który był świadkiem już niejednej śmierci. Ale nie takiej.

Ciało jakiejś kobiety na jego oczach zostało rozjechane przez pociąg. Jeszcze widział zakrwawione torowisko. Miał nawet wrażenie, że słyszał chrzęst łamanych kości, może czaszki, i widział przez chwilę wleczoną, zaczepioną na kole zakrwawioną, oderwaną rękę. Ku jego zdziwieniu maszynista nawet nie zwolnił szybkości jazdy. „Może nic nie wie, pociąg jest długi i głośny” – pomyślał.

Był pewien, że zostało popełnione morderstwo. I miał już podejrzenia co do sprawcy. Na kolejnym zakręcie dostrzegł w którymś przedziale otwarte okno. Wszystkie pozostałe były pozamykane.

„Jeśli to nie tam popełniono morderstwo, to może chociaż pasażerowie coś słyszeli” – pomyślał. – Wszystko powinno się wyjaśnić jak odnajdę hrabiego – powiedział już głośno.

Wybiegł z przedziału nie dbając o pozostawione bez opieki bagaże i poszedł wzdłuż pociągu. Ponieważ siedział prawie na samym końcu, zaglądał do każdego mijanego, ale nie dostrzegał w nich niczego podejrzanego. To tylko utwierdzało go w przekonaniu, że morderca dokonał zabójstwa w przedziale z otwartym oknem. Poza tym nadal nie natknął się na Cagliotra, a minął już kilka wagonów, nie liczył nawet ile.

Otworzył kolejne drzwi i stanął zupełnie nie wiedząc, co powinien zrobić. Hrabia, którego ponoć żaden z pytanych podróżnych nie widział, stał teraz kilkanaście kroków przed detektywem, zwrócony do niego bokiem, a przodem do drzwi przedziału. Mothman domyślił się, że to w tym przedziale zostało popełnione morderstwo, a podejrzanym był oczywiście hrabia. Detektyw miał ochotę rzucić się na niego i wycisnąć z niego wszystkie wiadomości, ale wiedział, że na razie nie mógł niczego podobnego uczynić. Musiał najpierw zebrać przeciwko niemu niezbite dowody, a póki co miał tylko poszlaki i podejrzenia.

Ostrożnie zaczął zbliżać się do hrabiego. Ten widocznie usłyszał jego kroki, bo odwrócił się w jego stronę, a Mothman stanął i zaczął mu się dokładnie przyglądać.

Pierwsze, co przykuło jego uwagę to była jakaś zmiana, która zaszła w hrabim. Najbardziej widać to było w jego oczach – były nadal nieprzystępne, ale teraz smutniejsze

i jeszcze zimniejsze niż zwykle. Już nie widział w nich tej iskry życia, tak jakby ich właściciel w ciągu tej krótkiej podróży bardzo się postarzał. Znalazło to odbicie w całej jego twarzy: rysy stały się ostrzejsze i bardziej widoczne. Gdy tak stał oparłszy się mocno o swoją łaskę bardziej przypominał trawionego śmiertelną chorobą starca aniżeli pełnego prawie młodzieńczej energii mężczyznę, który kilka godzin wcześniej przyszedł do Mothmans Library.

Johnowi, im dłużej na niego patrzył tym bardziej robiło mu się go żal. „Może ma teraz wyrzuty sumienia po dokonanej zbrodni” – pomyślał. – „Mimo to jest jej winny. Z drugiej jednak strony czy świadomie odważyłby się popełnić morderstwo wiedząc, że jestem detektywem? Czy zaryzykowałby zdemaskowanie? Nie, głupi nie jest, jego inteligencja jest raczej równa przebiegłości. A może to rodzaj testu dla mnie, może mnie sprawdza? Jeśli tak to zagrajmy.” Kąciki ust zadrgały mu w ledwo widocznym uśmiechu. Miał nadzieję, że hrabia nie dostrzeże tego, co rozgrywa się teraz w jego myślach i duszy. I chyba tak było.

Mothman podszedł do niego zdecydowanie. Cagliostro zauważył go dopiero, gdy stanął tuż przed nim.

– Stało się coś? – zapytał detektyw, jakby o niczym nie wiedział.

Hrabia spojrzał, jakby nie rozumiał, co John do niego mówi. Dopiero po chwili odpowiedział, a każde jego słowo wbijało się w serce Mothmana niczym sztylet.

– Twoja siostra...

Te dwa słowa sprawiły, że krew zawrzała detektywowi w żyłach. Przed oczami przesuwaly mu się najstraszniejsze obrazy. Chwycił Cagliostra i zaczął go dusić i szarpać.

– Co z nią?! Gdzie ona jest?! Gadaj łajdaku! Zabiłeś ją! Powiniennem zrobić z tobą to samo! – krzyczał, a twarz hrabiego stawała się coraz bardziej popielata z braku powietrza.

Urywaniem, ledwo słyszalnym głosem wykrztusił:

– ...popełniła morderstwo.

Mothman usłyszawszy to puścił go i cofnął się o parę kroków. Zachwiał się na nogach i musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

– O czym ty mówisz? Łżesz.

* * *

Samuel podciągnął rękaw płaszcza. Zawsze był dumny z tego, że jako jeden z nielicznych mieszkańców Przeklętej Doliny ma zegarek na ręce. Dla innych był to jedynie nieosiągalny cud techniki, ale nie dla niego, nie dla syna Wielkiego Gvidona jak często nazywali jego ojca. Świącące upiornym blaskiem wskazówki utwierdziły go tylko w tragicznym przeczuciu, ale wolał nie mówić o tym nikomu. Miał nadzieję, że Gvidon nie zapyta. Tak też się stało. Zapytał dopiero, gdy znaleźli się na stacji.

Podszedł do okienka i zastukał z niecierpliwością w blat drewnianej przybudówki. Dźwięk odbijającego się złotego sygnetu rozniósł się po całym pomieszczeniu Informacji. Dopiero po kilku minutach zjawił się ktoś, kto mógł udzielić mu potrzebnych wiadomości. Była to kobieta w wieku może około czterdziestu lat. Jej ponętne kształty mogły przywołać na myśl kobiety, które w Dolinie nieraz zaczepiały go składając niedwuznaczne propozycje. Jej zachowanie mówiło teraz samo za siebie. Uśmiechała się do niego zalotnie – widocznie chciała zatuszować tym złe wrażenie, które zrobiła na nim okazując pewnego rodzaju niesubordynację w pracy. Ale Gvidon nie zwracał nawet najmniejszej uwagi na okazywane mu zbyt nachalne zainteresowanie i może chęć przeproszenia w sposób, na który nie miał teraz ochoty tracić czasu.

– Za ile minut odjeżdża stąd pociąg do Przekłętej Doliny? – powoli pytanie, którego widocznie kobieta przy okienku nie słyszała, gdy je zadał po raz pierwszy, przekraczając próg pomieszczenia, choć starał się je zadać jak najgłośniejsze.

– Odjechał. – Spojrzała na duży zegar wiszący na ścianie tuż za jej plecami i odwróciła się z tym samym wulgarnym uśmiechem w stronę przybyszów. – Dwadzieścia minut temu.

– Co?!

– To prawda, ojczu. – Samuel zbliżył się kilka kroków. – Zapomnieliśmy o zmianie czasu pomiędzy... – zamilkł pod piorunującym wzrokiem Gvidona.

– Która jest teraz godzina?

To, prawie warknięcie przez zęby, sprawiło, że nawet kobieta z informacji wyraźnie spoważniała. Teraz skierowała swój bardziej nieśmiały uśmiech w kierunku Samuela, ale ten nawet na nią nie spojrzał. Zerknął natomiast ukradkiem, tak żeby nikt tego nie zauważył, na swój zegarek. Nie mógł wprost odpowiedzieć na pytanie ojca, aby nie narazić się na podejrzenia ze strony innych.

Nie każdy uwierzyłby, że odziedziczył w genach talent do przepowiadania przyszłości po ojcu. Talent, który podobnie jak wszystkie pozostałe, w miarę pokoleń stawał się coraz słabszy i zanikał w pewnym wieku. Tylko mężczyźni go dziedziczyli z pokolenia na pokolenie, a kobiety raz na ileś lat, ale i tak podejrzewał, że straci ten dar w wieku ojca, tak jak przytrafiło się to Gvidonowi.

– Ta kobieta – powiedział z wyraźnym akcentem na drugie słowo. – Niestety ma rację.

– A kiedy będzie następny? – Gvidon znów skierował wzrok na pracownicę stacji.

– Dopiero jutro rano.

Już się odwrócili i podeszli do drzwi wyjściowych ze stacji, gdy Gvidonowi coś przyszło do głowy. Odwrócił się na progu i zapytał głośno:

– A czy do tego pociągu wsiadał ktoś, kto w jakiś szczególny sposób przykuł pani uwagę?

– Nie... – zawiesiła głos jakby się nad czymś zastanawiała, albo próbowała coś sobie na siłę przypomnieć. – No, może oprócz jednego jegomościa, który miał niesamowite oczy

i manieri. Także wyglądał na nietutejszego jak panowie, dlatego pomyślałam, że panowie są tacy sami jak on.

– Pomyliła się pani. – Samuel pierwszy raz na nią spojrzał, ale w jego spojrzeniu nadal nie było nawet cienia zainteresowania.

– Wiem – westchnęła smutno.

– Czy może nam pani coś bliżej opowiedzieć o wyglądzie tego, jak go pani nazwała "jegomościa"?

– Nie sędzę. Nie znam panów.

Stawała się coraz ostrożniejsza i Gvidon to zauważył. Szybkim krokiem wrócił do okienka. Kobieta chciała jakoś zareagować, ale nie zdążyła. Wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na blacie. Nawet nie wyciągnęła po nią ręki, więc wsunął karteczkę w szparę pod szybą. Kobieta aż otworzyła usta z wrażenia.

– Może jednak przypomina sobie pani jakieś szczegóły jego wyglądu?

– Wyglądał jak jakiś... – zaczęła już trochę bardziej rozluźniona, ale nie próbowała się narzucać przybyszom. „Z prawnikami nie ma żartów” – pomyślała.

– Jestem pewny, że to Cagliostro.

Gvidon nic się nie odezwał. Traktował Samuela tak, jakby go w ogóle w pobliżu nie było.

– Prawie nas zdradziłeś – rzucił tylko, gdy wychodzili ze stacji.

* * *

Siedziała z podkulonymi nogami, oparta o drzwi przedziału, a płacz, co chwilę targał jej ciałem. Otworzyła gazetę na stronie, którą czytała samobójczyni i przez łyzy, jak przez mgłę zobaczyła nagłówek artykułu. Pod nim było prawdopodobnie zdjęcie zamordowanej dziewczyny, ale widocznie ktoś niespełna rozumu je wyciął. Nikki nie czytała artykułu, tylko bezmyślnie wpatrywała się w dziurę po fotografii jakby ta przedstawiała jakiegoś jej znajomego. Łzy rozmazały jej litery druku i nie była w stanie przeczytać podpisu zamieszczonego pod miejscem po zdjęciu.

Odłożyła gazetę, gdy tylko usłyszała głosy. Przestała płakać i spróbowała się w nie wsłuchać. Była pewna, że dochodzą zza drzwi. Wolno wstała i starała się coś dostrzec przez szybę. Coraz wyraźniej słyszała kłótnię, która z każdym słowem stawała się ostrzejsza. Nie wiedziała, co stało się jej powodem, ale słyszała Johna i Cagliostra. Zaczęła krzyczeć i uderzać z całej siły pięściami w drzwi. Nagle rozmowa ucichła i dziewczyna zobaczyła upragnione oblicza. Przyłgnęła do drzwi jak rozgnieciona mucha. Widocznie i oni ją zobaczyli albo usłyszeli, bo John najpierw zaczął szarpać, a potem napierać na drzwi – najwidoczniej chciał je wyważyć. Nikki na wszelki wypadek odsunęła się o kilka kroków

i czekała w napięciu. Łzy jeszcze świeciły jej w oczach, ale w serce wstąpiła nowa nadzieja. „Za chwilę ten koszmar się skończy” – pomyślała.

John nadal nie mógł uwierzyć w słowa hrabiego. Nawet teraz, gdy zobaczył Nikki w jedynym przedziale z otwartym oknem. Poza tym widział jej zapłakaną twarz i przerażenie w oczach. A wszystko jakby za mgłą, w oddali – zdawało mu się, że nie drzwi ich dzielą, a wielka odległość.

Brutalnie odepchnął od siebie Cagliostro i próbował otworzyć drzwi. Gdy to nie dawało rezultatu krzyknął na całe gardło mając nadzieję, że siostra go usłyszy:

– Otwórz drzwi!

Ale ona nawet nie ruszyła się z miejsca.

John nadal szarpał za klamkę.

– Obawiam się, że to nic nie da. Tych drzwi nie otworzysz od zewnątrz – powiedział hrabia i detektywowi zdawało się, że w jego głosie usłyszał nutkę szczerego smutku.

– Dlaczego sama ich nie otworzy? – John syknął przez zaciśnięte zęby.

– Może się zacięły.

John spojrział na towarzysza spode łba i ponownie skierował wzrok na Nikki. Wydawało mu się, że trzyma coś w rękach, jakby gazetę. Z determinacją naparł całym ciałem na drzwi, ale te nie chciały ustąpić. Mothman zaczynał tracić siły.

– Będziesz tak stał i mi nie pomożesz? – zapytał z wyrzutem hrabiego.

– I tak ich nie otworzymy. Mam wrażenie, że działają tutaj siły potężniejsze od nas.

– Co masz na myśli?

– To, że zbliżamy się do celu naszej podróży. A z tego, co wiem to Przeklęta Dolina jest dość specyficznym miejscem.

John spojrział na niego i chciał o coś jeszcze zapytać, ale Cagliostro uprzedził go odpowiedzią:

– Za chwilę się dowiesz.

Mothman nie wiedział, co hrabia miał na myśli.

– Stajesz się coraz bardziej tajemniczy. Myślę, że skoro już razem jedziemy, to powinniśmy zacząć jakoś współpracować.

Cagliostro spojrział na detektywa, ale nic mu nie odpowiedział. Wyraźnie natomiast cofnął się o kilka kroków, odsuwając się od drzwi i od Mothmana. John ruszył w jego kierunku, ale niespodziewanie poczuł mocne szarpnięcie, jakby cały pociąg uderzył w jakąś niewidzialną przeszkodę z ogromną prędkością. Hrabia zdążył złapać się metalowej poręczy przytwierdzonej do ściany, ale Mothman nie zdołał utrzymać się na nogach – twardo

wyłądował na podwoziu, pojechał po nim jak zabawka i zatrzymał się dopiero uderzając w ścianę tuż pod stopami Cagliostro. Miał szczęście, że nie uderzył głową, bo wtedy prawdopodobnie zginąłby na miejscu.

Na chwilę zgasło światło w całym wagonie i zapanowała mroząca krew w żyłach cisza. Detektyw nie słyszał nawet własnego oddechu ani bicia serca. Nie słyszał także niczego, co mogłoby wskazywać na czyjąkolwiek obecność w pobliżu. Mimo, iż wcześniej jego zmysły nie rejestrowały najmniejszego ruchu pociągu, był pewien, że teraz się zatrzymał.

Światło zapaliło się samoczynnie i John zobaczył pochylającego się nad nim hrabiego.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się uspokajającym głosem, ale Mothman był jakby oziębiały. – Pomogę ci wstać. Moi przyjaciele nie powinni zobaczyć cię w takim stanie.

Pomógł mu podnieść się z podwozia i użyczył czasowo swojej laski, żeby detektyw nie upadł ponownie, gdyby stracił czucie w nogach.

Mothman wodził mętnym wzrokiem dookoła i nawet nie słyszał, że drzwi do wagonu wcześniej się otworzyły. Dopiero, gdy jego wzrok prześlizgnął się po otwartym przedziale, w pełni wróciła mu pamięć i odzyskał siły. Odrzucił laskę towarzysza podróży i wbiegł do środka, ale nie znalazł w nim Nikki. Cagliostro otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Podniósł laskę i w milczeniu poszedł za Johnem. Nie odzywali się do siebie.

* * *

John przyglądał się drzwiom, ale nie mógł w nich znaleźć żadnego zamka. Cagliostro natomiast przeglądał zostawioną przez dziewczynę gazetę.

– Pomógłbyś mi.

– Myślę, że to jest ciekawsze – odparł hrabia. – Obawiam się, że niczego nie znajdziesz w tych drzwiach, natomiast to powinno cię zainteresować. – Przy tych słowach podsunął mu przed oczy gazetę.

John spojrzął na artykuł i oczy nabiegły mu krwią z przerażenia i złości. Jeszcze nie wiedział, w jaki sposób, ale czuł, że jego siostrze grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. To, że jest osobą podejrzaną o popełnienie morderstwa wydawało mu się teraz mało ważne. Podszedł do okna, przez które wcześniej wypadła nieznamiona kobieta. Na zewnątrz pociągu panowała dziwna ciemność przemieszana z mgłą. Widział ludzi chodzących po stacji, biegających w różne strony, szukających bagaży i czekających na pociągi.

Jego wzrok przykuła grupka ludzi. Niby wyglądali normalnie, ale w ich zachowaniu było coś nienaturalnego. Nawet ich ruchy wydawały się sztuczne. Nie widział ich twarzy, ale chyba nawet nie chciałby zobaczyć ich z bliska. Nagle zobaczył Nikki. Był pewien, że to ona. Chociaż była daleko, rozpoznał ją bez trudu. Była w tym samym ubraniu, w którym widział ją uwięzioną w przedziale. Krzyknął na całe gardło jej imię, gdy przechodziła koło grupki podejrzanych mężczyzn, których nie spuszczał z oka. Widocznie nie dosłyszała jego krzyku,

bowiem nie odwróciła się nawet w stronę pociągu, a wręcz przeciwnie – odwróciła się plecami do grupki mężczyzn i odeszła w mrok.

– Przyjechali. – John usłyszał wyraźnie jednego osobnika z podejrzanej grupy i miał wrażenie, że pochodzi on z najgłębszego piekła.

– Nikki! – krzyknął ponownie i zaczął gramolić się przez okno. Gdy był już jedną nogą na zewnątrz złożył gazetę na kilka części i schował do kieszeni.

– John... – Ten spokojny, łagodny kobiecy głos sprawił, że detektyw nie mógł ruszyć się z miejsca. Poczł także na ramieniu delikatną dłoń – dotknięcie, które tak dobrze pamiętał z dzieciństwa.

Machinalnie zszedł z okna i stanął twarzą w twarz z gośćmi.

* * *

– Domyślałam się, że skoro tu przyjechałeś razem z hrabią, to otrzymałeś mój list.

Jej głos przyprawiał go o dreszcze. Mothman nie śmiał odezwać się do niej ani słowem ani oderwać od niej wzroku.

– Jest zawstydzony twoją urodą, pani – odpowiedział za niego Cagliostro.

John w milczeniu przyglądał się kobiecie. Jej wzrok palił mu serce. Był ciepły, zachęcający, a jednocześnie wywołujący ból wspomnień. Była tylko o parę lat starsza od niego, ale wyglądała jak obraz jego matki. Nigdy do końca nie wyleczył się z kompleksu Edypa.

Krępująca cisza przedłużała się niemiłosiernie.

– Pozwolę sobie was przedstawić. Pani, to jest jeden z najlepszych detektywów, jakich kiedykolwiek spotkałem, John Mothman. – Mothman nie zareagował na jego komplement.

– John, przedstawiam ci Lady M.

Po niej, po kolei przedstawił pozostałych przedstawicieli delegacji, jak ich nazywał Cagliostro. Mothman zmusił się ledwo do przelotnego spojrzenia na nich i błyskawicznie wrócił do stojącej przed nim kobiety.

Wiedział, że i tak nie zapamięta ich nazwisk. Były wyszukane, obco brzmiące dla jego uszu, a tytuły delegatów reprezentowały tutejszą arystokrację – z niej najbardziej jednak interesowała go tajemnicza Lady. Wyróżniała się spośród pozostałych nawet ubiorem. Wszyscy ubrani byli w istic galowe stroje – modne koszule z bufiastymi rękawami, złotymi spinkami przy mankietach i szafirowymi guzikami. W ich butach mógłby się przejrzeć jak w lustrze. Ale ona i tak ich przyćmiewała. Piękna suknia obszyta cekinami i diamentami leżała na niej, jakby była szyta na miarę. Nawet oczy miała inne od nich – łagodne, lśniące, ale przyjazne zarazem.

– Otrzymałeś mój list, prawda? – zapytała i chwyciła go za rękę. Trzymała ją bardzo delikatnie. Za ten dotyk i ten wzrok w niego wpatrzony gotów byłby oddać życie. W tej

chwili zapomniał nawet o ratowaniu swojej siostry. Lady M. magnetyzowała go spojrzeniem. Jak we śnie wyjął złożoną na czworo kartkę papieru z kieszeni i podał kobiecie.

Uśmiechnęła się do niego, a pod nim ugięły się nogi ze szczęścia. Ośmielony jej czułym spojrzeniem powiedział:

– Dostałem także pani książkę.

– Ale – zaczęła i spojrzała pytająco na stojących wokół niej przyjaciół, a gdy milczeli dokończyła. – Nie wysyłaliśmy żadnej książki.

Cagliostro zdawał się być nie mniej zaskoczonym od detektywa. Albo tak zręcznie udawał.

– W takim razie...

– A co to za książka? – spytała kobieta.

– Ta – John otworzył swoją walizkę przyniesioną przez jednego z przyjaciół hrabiego i wyjął z niej autobiografię.

Lady M. rozszerzyła oczy ze zdumienia, widząc okładkę. Rozbłysły, gdy zobaczyła pierwsze znaki napisane na stronach.

– Czy wiecie, co to za symbole?

– To jakiś...

– Dość! – ucięła ostro kobieta.

Hrabia nie był zadowolony, że się z nim nie liczyła. „Ale już niedługo.” Już zacierał ręce w myślach.

– To runy – powiedziała dobitnie i spojrzała znacząco na Mothmana.

– Moja siostra kiedyś wspomniała... – I nagle przypomniał sobie o Nikki. Zerwał się z miejsca, chwycił walizkę i wybiegł z pociągu.

Cagliostro i Lady M. podążyli tuż za nim. Delegaci zabrali pozostałe bagaże i także opuścili pociąg.

– Jego siostra, Nikki, zaginęła w tej Dolinie. – Kobieta usłyszała głos hrabiego. Nagle stanęła, jakby w nią piorun strzelił.

Spojrzała na Cagliostra, a w jej oczach malowało się przerażenie.

– John! – krzyknęła za biegnącym detektywem. – Ona żyje!

Mothman zatrzymał się w połowie drogi dzielącej go od grupy nienaturalnie wyglądających mężczyzn i odwrócił się w stronę kobiety. Wolno ruszył ku niej z zaciśniętymi pięściami. Widząc jego desperację hrabia zagroził mu drogę.

– Uspokój się. W nocy i tak jej nie znajdziesz, a my możemy ci pomóc. Zaginięcie twojej siostry może mieć związek z wydarzeniami, które ostatnio mają tu miejsce. Sam nie pokonasz tych ludzi.

Mężczyźni, którzy wydawali mu się podejrzani, nagle odeszli. Detektyw nie wiedział dokąd, ale podejrzewał, że jeszcze ich spotka. Spojrzał błagalnie na kobietę. Ona patrzyła mu prosto w oczy. „Pod tym spojrzeniem lód topnieje” – pomyślał znowu zapominając o Nikki.

– Sądzę, że po podróży należy się wam porządny odpoczynek i posiłek – zwróciła się także do Cagliostra. – Zapraszam wszystkich do siebie.

Instynkt samozachowawczy nagle coś Mothmanowi przypomniał.

– W Przekłętej Dolinie mieszka ktoś, kto przez pomyłkę otrzymał adresowane na mnie przesyłki. Powinienem je jak najszybciej odzyskać. Dziękuję za kuszące zaproszenie, pani, ale nie mogę z niego skorzystać.

– Twoje paczki są u mnie. I tak musisz ze mną jechać. – Przy tych słowach uśmiechnęła się zniewalająco, ukazując szereg białych, równych zębów.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Mimo heroicznej walki z samym sobą nie umiał się jej oprzeć.

Nieopodal stacji czekało już kilka powozów zaprzęgniętych w najprzedniejsze konie. Lady M. zatrzymała się przed powozem, niemalże karetą obitą złotem i zaprzęgniętą w sześć arabów.

– Pana detektywa zapraszam do mojego powozu. Muszę mu wyjaśnić kilka rzeczy – zadecydowała. – Hrabia pojedzie tuż za nami i będzie trzymał pieczę nad bagażami. – Przy tych słowach nie raczyła nawet spojrzeć na Cagliostra.

Stangret nie czekał na polecenia Lady, zeskoczył z kozła i z ukłonem otworzył drzwiczki. Kobieta wsiadła pierwsza i podała rękę detektywowi. Gdy John usiadł wygodnie na wyłożonej aksamitem i suknem kanapie, stangret nie zwlekając zamknął drzwiczki. Bagaże zostały załadowane przez woźnicę stojącego obok nich wozu i, chcąc nie chcąc, hrabia zniknął w kabinie. Gdy tylko drzwiczki jego powozu się zamknęły, opuścił czarne zasłony. Zazdrość zmieszała się z nienawiścią do Mothmana i zapłonęła żywym ogniem w jego oczach. Nie chciał, żeby ktoś widział targające nim emocje. Zacisnął pięści. Usłyszał stukot końskich kopyt – jedna z karet odjeżdżała, ale nie zamierzał nawet uchylić zasłon, wiedział, kto zawsze jechał pierwszy.

Nie śpieszyli się, jakby Lady specjalnie wypróbowywała jego cierpliwość. Słyszał jak we śnie rzenie koni, odgłos toczących się kół. Przez na wpół zasłonięte czerwone zasłony wpadały blade odbłaski księżyca. Nie wiedział czy atmosfera panująca wewnątrz karety, czy sama świadomość bliskości umiłowanej osoby sprawiła, że pot wystąpił mu na czoło. Kobieta widząc to, wyciągnęła z jakiegoś schowka chusteczkę i przy świetle księżyca zaczęła mu wycierać pojawiające się kropelki potu. Zamknął oczy ze szczęścia. Jej delikatny dotyk, zapach lawendowych perfum i gorący oddech, który poczuł przed swoimi ustami sprawiły, że nieświadomie wypowiedział imię matki.

– Mary – powtórzył półprzyciennie i nagle czar przysł.

Oddech zniknął i detektyw już nie czuł czułego dotyku. Otworzył oczy. Lady M. przyglądała mu się badawczo.

– Kim jest Mary?

Mothmanowi zrobiło się bardzo głupio i poczerwieniał jak mały chłopiec złapany na jakimś przestępstwie. Odwrócił wzrok od kobiety.

– Była moją matką. Zaginęła, gdy ja i Nikki byliśmy jeszcze prawie dziećmi. Nigdy jej nie odnalazłem – mówił zduszonym głosem. Nie wiedział czemu, ale miał do siedzącej obok siebie kobiety więcej zaufania aniżeli do hrabiego. – Nie mam dowodu, że nie żyje, dlatego gdy otrzymałem pocztą jej autobiografię, miałem nadzieję, że ją odnajdę.

– Domyślam się, że to ta książka, którą mi pokazałeś. A Nikki to twoja siostra? Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Wiem tylko, że gdzieś w tej Dolinie i że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Nie jest jedyną zaginioną. Niedawno została zamordowana córka mojej przyjaciółki. Miała na imię Mary. Napisałam do ciebie, bo nie była ona pierwszą ofiarą. Wszyscy nas zawiedli. Jesteś naszą ostatnią nadzieją.

Detektyw słuchał z uwagą opowieści o młodej, pełnej życia dziewczynie. Tym bardziej się denerwował, bo z tego, co mówiła Lady M., wynikało, że wszystkimi zaginionymi były dziewczyny i kobiety mniej więcej w jednym wieku, w wieku Nikki. Jeden szczegół mu nie pasował w jej opowieści.

– Opowiedziałas mi, pani, tylko o jednej dziewczynie, ale z twojej opowieści wynika, że jest więcej przypuszczalnych ofiar.

– Tak. Zaginęły dwadzieścia cztery osoby. Twoja siostra może być dwudziestą piątą. Wszystkie pochodzą z dobrych, arystokratycznych domów.

– Oprócz Nikki – zauważył detektyw. W jego głosie dał się słyszeć żal. Lady ścisnęła nieco mocniej jego dłoń. Spojrzał w jej modre oczy.

– Wasza matka była bardzo szanowaną osobą w Przeklętej Dolinie.

– Co z tym wszystkim ma wspólnego jej autobiografia?

– Na pierwszy rzut oka nic, ale...

Nie dokończyła. John usłyszał świdrujący uszy świst. Powóz przechylił się niespodziewanie skręcając i detektyw wylądował w ramionach Lady. Poczul się niezręcznie, gdy jego usta znalazły się między jej piersiami.

– Bardzo panią przepraszam – zaczął zawstydzony i wrócił na swoje miejsce.

– To było bardzo przyjemne. – Uśmiechnęła się do niego życzliwie. – Ale na to będziemy mieli jeszcze dzisiaj czas – zawiesiła zagadkowo głos.

Drzwi karety otworzyły się i Mothman zobaczył uśmiech na twarzy stangreta.

– Jesteśmy na miejscu.

Przetarł oczy niedowierzając widokowi miejsca, w którym się znalazł. Urzekł go barokowy styl pałacyku. Mimo mgły i strug deszczu dostrzegał najmniejsze szczegóły dekoracji ogrodu. Stajenny wprowadzając powozy przez ogromną, zwieńczoną łukiem bramę wspominał o krwiożerczych psach strzegących posiadłości. Tuzin tych bestii był teraz zamknięty w specjalnie przystosowanym do tego celu budynku na tyłach posiadłości. Mothman słyszał tylko ich zacięte ujadanie.

Stajnia znajdująca się kilka metrów od ściany budynku z łatwością mogła pomieścić kilkanaście koni. „Ładny dworek” – pomyślał, ale dopiero gdy przekroczył próg głównego hallu, mógł ocenić go lepiej. Obrazy, gobeliny na czyściutkich ścianach, kilka jadalni i dwa saloniki sprawiły, że poczuł się jak członek wycieczki zwiedzającej zamek.

Służba krzątała się po całym domostwie i nie wiedział, gdzie się podziać, żeby nie przeszkadzać w porządkach. Wiedział, że posprzątać taki dom – salony, jadalnie, halle, kilkanaście pokoi, łazienki i ubikacje, sypialnie, których z pewnością było kilka, nie licząc przybudówek i pomniejszych budynków wraz ze stajnią i psiarnią – było nie lada wyczynem, nawet dla czterdziestu ludzi. Zastanawiał się, jaki ogród pasowałby do takiego domostwa. Chciał zapytać z okazji czyjego przybycia trwają takie przygotowania, ale nigdzie nie widział pana domu, a Lady M. zniknęła gdzieś, wydając coraz to nowe polecenia.

Detektyw postanowił zaszyć się w jakimś cichym pomieszczeniu i przeanalizować obecną sytuację. Tym bardziej, że od momentu przyjazdu czuł na sobie czyjś wzrok. Komuś wyraźnie przeszkadzała jego obecność. Zaczął podejrzewać milczącego i stroniącego od niego od pewnego czasu hrabiego.

John wszedł do pierwszego lepszego pokoju i stwierdził, że cały dworek jest przesiąknięty istic królewskim przepychem. Złote zastawy stołowe, pianino, arcydzieła malarstwa podpisane własnoręcznie przez mistrzów. Usiadł w hebanowym fotelu obitym czerwonym sukniem. Złote poręcze lśniły czystością. Lady M. lubiła wykwintne życie i kolor krwi, który dostrzegał w całym jej otoczeniu. Na szklanym stolczku przed fotelem stał inkrustowany złotem i drogimi kamieniami kałamarz. Leżące obok, na notatniku pióro było przygotowane do pisania. Mothman rzucił tylko okiem na nogi stoliczka. W oczach zaświeciło mu złoto, a pod blatem ujrzał chyba największy na świecie krwawnik. Nie namyślając się chwycił obłożony skórą notatnik, umoczył pióro w kałamarzu i zaczął spisywać swoje spostrzeżenia.

* * *

Nie ominął najmniejszego nawet szczegółu. Wypisał wszystkie pytania i wątpliwości. Narysował sobie nawet drzewo osób podejrzanych – ich krąg systematycznie się powiększał. Podejrzewał już nie tylko Cagliostro, do niego dołączyła grupka na stacji, kobieta z pociągu, Lady M., a nawet Nikki. Kluczem do rozwiązania zagadki mogła być

książka. Notatki zajęły mu kilka stron. Wstał na chwilę, żeby rozprostować nogi. Podeszedł do okna, ale dżdżysta pogoda nie chciała ustąpić. Księżyc zasłoniły złowrogie chmury.

Z odrętwienia wyrwało go energiczne pukanie do drzwi. Szybko schował notatki do kieszeni i usiadł w fotelu. Udawał, że dopiero się budzi. Pukanie rozległo się ponownie.

– Proszę – powiedział niechętnie.

Drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich ubrany w czysty, prawie odświętny strój Cagliostro.

– Przepraszam, że cię obudziłem. Lady M. zaprasza na posiłek – odezwał się z wymuszonym uśmiechem.

– Znajdę swój bagaż. Jak tylko się przebiorę, to przyjdę.

– Lady nie lubi czekać. Wybierz coś stąd. – Hrabia podeszedł do stojącej pod ścianą szafy i otworzył ją. Johnowi stanął przed oczyma szereg najrozmaitszych męskich ubrań.

– Ale to stroje pana domu. Nie mogę...

– Możesz. Nie widziałeś tabliczki na drzwiach wejściowych? – zapytał ironicznie hrabia. – Na bramie pisze to samo. I w dokumentach tego dworku też, zresztą powinny one być w autobiografii, którą otrzymałeś. Myślałem, że już ją przeczytałeś.

– Ty mi ją wysłałeś?

– Ja tylko zredagowałem list na polecenie Lady M. Ona go przepisała i wysłała.

– Ale jak...?

– Mam dar odnajdywania ludzi. Poczekam na ciebie w hollu. – Cagliostro odwrócił się i wolno wyszedł z pokoju.

Detektyw nie był zadowolony, że ktoś pokroju hrabiego wytknął mu brak spostrzegawczości. Wybiegł do hallu drugimi drzwiami. Po kilku minutach stał przed domem i z niedowierzaniem wpatrywał się w tabliczkę przytwierdzoną do drzwi. Drewniane zadaszenie chroniło go przed strugami ulewnego deszczu. Trzy razy przeczytał nim napis "John Mothman i Lady M." dotarł do jego świadomości. Wrócił do pokoju tą samą drogą, którą się z niego wymknął.

Po kilku minutach był już umyty i przebrany. Gdy otworzyły się drzwi i wszedł przez nie hrabia, Mothman przyglądał się sobie w lustrze. Smoking leżał na nim jakby był szyty na miarę.

– Możemy już iść, detektywie? – usłyszał niecierpliwe pytanie.

– Tak. – Odwrócił się i w tym momencie w progu pojawiła się Lady M. Długa różowawa suknia z falbanami kusząco opinała jej wąską kibić. Pełne piersi falowały z każdym jej ruchem jakby nie były niczym hamowane. Usta niemalże błagały o pieśczoły. Delikatny łańcuszek podkreślał miękkość jej skóry. John pragnął wtulić się w te lśniące, brązowe włosy opadające kaskadą na ramiona.

Cagliostro także usłyszał jej pantofelki.

– Już schodzimy. Przepraszam, że... – zaczął, ale kobieta nie dała mu skończyć. Podeszła do Johna i delikatnie ujęła go za rękę. Nie odwracając się w stronę hrabiego, zadecydowała:

– Kolacja jest już przygotowana. Wszyscy czekają na ciebie, hrabio, w jadalni. My zjemy w prywatnym pokoju – uśmiechnęła się do Mothmana.

Cagliostro bez słowa wyszedł z pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Jego przekleństwa dały się słyszeć w całym hallu.

Niezrażona zachowaniem hrabiego, Lady M. prowadziła detektywa wzdłuż szeregu pokoi, a zapach jej perfum, unoszący się dookoła, przyćmiewał mu zmysły. W końcu zatrzymali się przed masywnymi drzwiami. Lady M. otworzyła wszystkie siedem zamków i schowała klucze w fałdach sukni.

– To jest moja twierdza.

Po tych słowach wciągnęła Johna do pokoju. Tutaj też, tak jak w innych pomieszczeniach światło zapalało się automatycznie po otwarciu drzwi. Pierwsze, co rzuciło się Mothmanowi w oczy, oprócz suto zastawionego stolika, było dwuosobowe, zasłane łoże z baldachimem.

Jego kolacja zapowiadała się bardzo interesująco.

O AUTORZE



Konrad Staszewski urodził się w 1982 r. w Tychach, a od 1991 r. mieszka i tworzy w Sosnowcu. W 1995 r. został wyróżniony w konkursie na opowiadanie ogłoszonym przez Kanadyjsko - Polską Szkołę Pisarstwa w Poznaniu. W latach 1995-1996 uczestniczył w korespondencyjnym kursie "Podstawy Prozy Fabularnej" zorganizowanym przez tę szkołę.

W 2009r. ukończył studia licencjackie na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Obronił pracę dyplomową pod tytułem „Wstępna charakterystyka prawa autorskiego”.

Od 2009 r. jest studentem Podyplomowych Studiów Dziennikarskich na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

W 2009 r. został członkiem Grupy Literackiej Impresje, a w 2010 roku Członkiem Założycielem Stowarzyszenia Literackie Impresje.

Oprócz powieści, Konrad Staszewski pisze i publikuje w Internecie opowiadania, artykuły, recenzje, teksty. Używa kilku pseudonimów literackich, między innymi: Konrad Staszewski, KonradStaszewski, konrad1, Koloman i Konrad Sta. Publikuje także wiersze swego nieżyjącego wuja, Zygmunta Dubińskiego i mamy - Marii Staszewskiej. Publikował w, nieistniejącym już AM Opowiadania, dodawanym na płytach do miesięcznika CD-Action, Biuletynie Korporacyjnym i „sZafa” kwartalniku literacko-artystycznym. Aktualnie publikuje w serwisach i portalach internetowych. Pisze także artykuły w serwisie Interia360.

Zajmuje się także runami, mitologią celtycką i skandynawską.

Twórczość wydana:

OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY: UCIĘTA MOWA, wydawnictwo BLACK UNICORN, 2009 (30 egzemplarzy);

Wsluchaj się w siebie, wydawnictwo E-bookowo, 2008;

Wiersze rodzinne: W hołdzie Zygmuntowi Dubińskiemu, wydawnictwo Serwis Literacki www.knowacz.pl, 2008;

Wiersz pt. Taniec Aniołów znalazł się w albumie stworzonym przez Górskie Forum Dyskusyjne - Górski Świat, 2008;

Wiersze wybrane głosami internautów: Zapisane głosami, wyd. Serwis Literacki www.knowacz.pl, 2008;

ARKUSZE LITERACKIE Stowarzyszenia Twórców Wszelakich, nr 1/2/2008 Grudzień 2007/Styczeń 2008 (fragmenty Opowieści z Przeklętej Doliny: Ucięta Mowa);

OPOWIEŚCI Z PRZEKŁĘTEJ DOLINY: UCIĘTA MOWA, wydawnictwo Serwis Literacki www.knowacz.pl, 2007;

„sZafa” kwartalnik literacko-artystyczny, nr 26/27 (grudzień 2007) (opowiadanie pt. Sen?);

tête à tête spojrzenia wiersze, wydawnictwo Spółka Wydawnicza HELIODOR, 2006 (3 wiersze konkursowe).

WSŁUCHAJ SIĘ W SIEBIE



KONRAD STASZEWSKI
EDYTA MACULEWICZ-STASZEWSKA

Konrad Staszewski: Wsłuchaj się w siebie

wydawnictwo E-bookowo 2008

ISBN: 978-83-61184-26-3

cena: 6.00 zł

TYLKO PREMIEROWE WIERSZE. Nie znajdziecie ich w necie!

Niniejszy tomik jest wynikiem mojej drogi życiowej, przebytej podróży - rozczarowań i chwil szczęścia. Każdy z nas przeżywa w życiu takie chwile, każdy inaczej ale... Nie każdy odnajduje w tej podróży siebie na nowo. Czy ja odnalazłem, sami się przekonajcie. Dwa pierwsze wiersze powstały po niedawnej śmierci naszego drugiego dziecka. A ostatni wiersz jest napisany specjalnie dla pierwszego. W imieniu swoim i mojej żony zapraszam Cię, drogi czytelniku do podróży. Odkryj studium mojego ja, a może sam siebie też jakoś odnajdziesz. Konrad Staszewski, Edyta Maculewicz - Staszewska”.

www.e-bookowo.pl

[Kup księ](#)

Podziękowania:

Na wstępie chciałbym podziękować osobom, które najbardziej wspierały mnie na duchu podczas pisania niniejszej książki. Są nimi: moja mama i żona. Córce dziękuję za to, że jest. Bez tych osób dawno poddałbym się stracił samego siebie.

To już drugie wydanie *Opowieści z Przekłętej Doliny: Ucięta Mowa*. Ukazuje się ono dzięki dr Katarzynie Krzan (wydawnictwo internetowe e-bookowo), która dokonała jego korekty i doprowadziła do wydania. To dzięki niej w Wydawnictwie E-bookowo ukazał się także mój pierwszy tomik poetycki, który znalazł się w sprzedaży.

Słowa mojego podziękowania kieruję do Klary Piotrowskiej (Stowarzyszenie Literackie Impresje), która mobilizowała mnie do wydania niniejszej książki i stworzyła do niej okładkę. Dziękuję także Boguszowi Jaśniakowi, autorowi wszystkich ilustracji zamieszczonych w treści książki.

Pozdrawiam, Konrad Staszewski.

SPIS TREŚCI

PROLOG.....	5
Rozdział I.....	9
Rozdział II.....	16
Rozdział III.....	23
Rozdział IV.....	45
Rozdział V.....	65
Rozdział VI.....	87
EPILOG.....	134